



ks. Mirosław Maliński



Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2017

© Mirosław Maliński, 2017

Tekst Ewangelii św. Łukasza wykorzystany za zgodą
Wydawnictwa Księży Pallotynów:
Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,
wyd. V, Pallottinum, Poznań 2015

Opieka redakcyjna: Bartłomiej Sury
Redakcja: Katarzyna Węglarczyk
Korekta: Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Łukasz Szczepaniak
Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-696-6

NIHIL OBSTAT

Prowincja Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Jakub Kołacz SJ, prowincjał
Kraków, dn. 13 lutego 2017 r., l.dz. 45/2017

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

druk: OPOLGRAF • Opole

Do czego służy ta książka?

Do czytania. Odpowiedź prawidłowa, choć nie powalająca swą błyskotliwością. Czy książka ma w ogóle do czegoś służyć? Przypuszczam, że taki pragmatyzm na dobre zagnieździł się już w naszych głowach.

Może spróbujmy tak.

W Ewangelii według świętego Łukasza Błogosławieństwa, które wielu uznaje za kanon duchowości chrześcijańskiej, Jezus wygłasza na równinie, ale w Ewangelii według świętego Mateusza jest inaczej. Wygłoszenie Błogosławieństw poprzedza bardzo ciekawa okoliczność. Otóż Jezus, widząc tłumy, wychodzi na górę. Jest to niezwykle pragmatyczne zachowanie. Jezus daje się nam poznać jako człowiek praktyczny, który świetnie sobie radzi z tłumami. Gdy widzi wielkie mnóstwo słuchaczy nad brzegiem jeziora, przygotowuje sobie łódkę, by w razie czego móc

odbić od brzegu, albo wręcz wchodzi do łodzi i naucza z niej, by głos niesiony po wodzie lepiej się rozchodził, by ludzie mogli go wygodnie słuchać. Teraz zatem, widząc tłumy, wychodzi na górę. Logiczne, jasne, uzasadnione. Ale następne zdanie informuje nas o czymś zupełnie nielogicznym i – jak się wydaje – nieuzasadnionym: Jezus usiadł. A kiedy usiadł, to ludzie Go już nie widzieli i nie słyszeli. Co za niepraktyczne zachowanie! Co za rażący brak konsekwencji! Jak się jednak przekonamy, wszystkie takie pozornie nielogiczne momenty w Ewangeliach są bardzo interesujące i często niosą w sobie ukryte treści.

W pozycji siedzącej nauczał Mojżesz, który był prawodawcą. Jego nauka stanowi fundament judaizmu. Jezus w swoim nauczaniu czasami odwołuje się do symboli, znaków, mowy ciała. Żydzi zapewne w lot łapali taki przekaz: „O, usiadł, jak Mojżesz. On naucza jak Możesz!”. Tak, On chciał im dać do zrozumienia, że jest nowym Mojżeszem, nowym prawodawcą, że wraz z Nim zaczyna się zupełnie nowa epoka – era Jezusa Chrystusa. I dlatego właśnie siedząc, wypowiada Błogosławieństwa, fundamentalne stwierdzenia dla rodzącego się chrześcijaństwa. I właśnie tak odnotowuje to zdarzenie święty Mateusz piszący swą Ewangelię dla środowisk żydowskich, dla których ta scena była w pełni zrozumiała. Ale myślę, że ukryta jest tu również inna, bardziej uniwersalna treść.

Zapewne, gdy Jezus usiadł i zniknął stojącym z oczu, ci z tyłu pokrzykiwali na tych z przodu, by usiedli, bo nie nie widać ani nie słysząc. To zupełnie naturalne. I tak tłum powoli rozsiadł się dookoła, a Jezus był na powrót widziany i słyszany. I to jest dla nas dosyć istotna wskazówka. Co możemy dziś zrobić, by usłyszeć Jezusa, w czasach kiedy tyle codziennych spraw Go nam przysłania? Aby Błogosławieństwa i każde nauczanie Jezusa mogły do nas dotrzeć, musimy się zatrzymać. Nie damy rady usłyszeć i przyjąć Jego nauki w pełnym pędzie, słuchając jednym uchem w pośpiechu, w pogoni za życiem, napażając się z codziennością.

Czasami bywam na przyjęciach zwanych *standing party*. Każdy trzyma sobie kawę w ręce, a krążąc, napotyka się różnych znajomych i z nimi gawędzi. Najczęściej jednak, gdy jakaś rozmowa zaczyna być bardziej osobista, słyszę propozycję: „A może znajdziemy jakieś miejsce, by usiąść?”. Ciekawe. Otóż na stojąco się nie da. By rozmowa rzeczywiście przerozdziała się w spotkanie, trzeba usiąść. Trzeba się zatrzymać w tym tańcu z kawą w ręce. Jeśli chcemy spotkać się z żywym, zmartwychwstałym Jezusem Chrystusem, musimy na chwilę stanąć, zatrzymać się, usiąść, by pomyśleć. I jeśli tego nie zrobimy, nasza wiara będzie rachityczna, koślawa, aż w końcu zemrze. Duchowo zginiemy, a nasze siły życiowe tak dalece osłabną, że będziemy jak umarli. Będziemy chodzić

do pracy, wychowywać dzieci, uprawiać sport i jeździć na świetne wakacje na Teneryfę, ale poczucie, że jesteśmy pustą wydmuszką, martwą w środku, będzie w nas nabrzmiewać. Pewnego dnia zdamy sobie sprawę, że nie bardzo wiemy, po co to wszystko. To życie duchowe nadaje sens całej naszej egzystencji. Jego brak powoduje, że autentycznie ginimy.

Zatem zatrzymaj się albo zginiesz. Usiądź na chwilę, jak tamci ludzie u stóp Jezusa na Górze Błogosławieństw.

Owszem, żyjemy w tym świecie, a nie w innym, w świecie, który pędzi, a my razem z nim. Dlatego ta książka wypełniona jest bardzo krótkimi refleksjami. Wystarczy każdego dnia znaleźć dziesięć minut. Zapewne mniej więcej tyle czasu poświęcasz na mycie zębów, które i tak powypadają. Może zatem warto zachować jakąś proporcję i zdrowy rozsądek, i znaleźć każdego dnia jeszcze to drugie co najmniej dziesięć minut – na słowo Boże. I co, czy to wystarczy? By poczuć grunt pod nogami, wystarczy. Podobnie jak we francuskich oddziałach Legii Cudzoziemskiej, ćwiczonych do walki w bardzo trudnych warunkach, zawołaniem stał się okrzyk: „Maszeruj albo giń!”, tak w naszym pędzącym świecie hasłem, które może nas ocalić, jest: „Zatrzymaj się albo giń!”.

Gdy tam, na Górze Błogosławieństw, ludzie usiedli z prostotą na trawie, na gołej ziemi, stali się mniejsi. Uniżyli się. To kolejna niezwykle ważna wska-

zówka, gdy próbujemy czytać Ewangelię. Warto z prostotą zejść ze swych koturnów, z mniemań o sobie, ze swoich wyżyn. Zejść w dół, nawet na dno swojego serca. Uznać, że mam w sobie też takie „niskie” pokłady osobowości, tam się rozsiać i stamtąd słuchać – a wtedy usłyszymy i więcej, i zupełnie inaczej. Chrystus jest „sługą uniżonym” i by się z Nim spotkać, trzeba również się unżyć. Unikać wszystkiego, co komplikuje. Unikać wymądrzania się.

Gdy siedzimy, nasze oczy są na wysokości oczu dziecka. Tak właśnie mamy popatrzeć na swoje życie, na świat, na Chrystusa: oczyma dziecka. Jeśli się nie staniemy jak dzieci, nie wejdziemy do królestwa Chrystusa. Mamy być ufni jak one, mamy myśleć i odczuwać prosto jak one, mamy zachować dziecięcą szczerłość. Proste?

Szczerze mówiąc, mimo że jestem prostym chłopakiem z Wielkopolski, nie zawsze udaje mi się zachować prostotę dziecka. Bardzo jednak liczę, że ty, drogi czytelniku, znajdziesz w sobie na tyle pokory i pogody ducha, aby móc cieszyć się takim podejściem.

Refleksje w tej książce nie są jednak najważniejsze. Mają nas tylko podprowadzić, zainspirować do własnych, samodzielnych przemyśleń. Dlatego najważniejszą częścią tej książeczki są pytania. Możesz dopisać swoje własne, możesz je zmienić, ale nie próbuj ich opuszczać. Jeśli nie masz zamiaru prowadzić własnej refleksji, odpowiadać sobie na pytania, które

stawia ci życie i tekst Ewangelii, to nie bierz się do tej książki. Kup sobie lepiej dobre lody, mandarynki albo idź do kina, by się zrelaksować. Jeśli jednak każdego dnia spotkasz się sam ze sobą, przyjmiesz te kilka pytań i poszukasz odpowiedzi, odkryjesz po jakimś czasie, że jesteś innym człowiekiem, że pojawiła się w tobie dodatkowa chęć do życia i stało się to jakby na zasadzie efektu ubocznego, bez twojego bezpośredniego udziału. Bądź dzielny, drogi przyjacielu.



Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które się dokonały pośród nas, tak jak nam je przekazali ci, którzy od początku byli naocznymi świadkami i sługami słowa. Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teofilu, abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk, których ci udzielono.

Przekonaj się o całkowitej pewności nauk. Wiara czasami bierze się znikąd. Przyplącze się sama jak kot, który pojawia się przy domu nie wiedzieć skąd. Przechadza się coraz bliżej, coraz częściej zagłębia do środka, aż w końcu, niby „przez zasiedzenie”,

zamieszkuje z nami. A czasami jest nieśmiała i płochliwa. Czeka na zaproszenie i potrzebuje opieki.

Mnie trudno było uwierzyć i sam przed sobą się tego wstydzilem. Denerwowałem się nawet, że ciągle mam jakieś pytania, w kółko zalewają mnie wątpliwości. Powoli jednak odkrywałem, że wszystkie te powątpiewania nie tylko są drugą stroną medalu wiara, ale co więcej – mają też swoją wartość: zmuszają do poszukiwania odpowiedzi. Szybko mogą je przemienić w troskę o własną wiarę. Wiara bowiem, im bardziej rachityczna, tym staranniejszej potrzebuje opieki, tym częściej trzeba ją podlewać i nawozić. Dzięki Bogu zostałem księdzem i mam na to czas. Wiara wymaga wiedzy, poznania, przeżycia i działania. Mniej więcej wiadomo, gdzie tego szukać. Jest sporo rekolekcji, kursów, dni skupienia. Sama niedzielna msza święta pozwala przeżyć, przetrwać, ale to jednak za mało.

Najważniejsza jest moja bezpośrednia więź z Jezusem – i wszystko ku niej powinno zmierzać. Jak zatem budować z Nim więź miłości? Jednym ze sposobów jest obcowanie na co dzień z Pismem Świętym. Ale co zrobić, by nie było ono zbiorem niezrozumiałych tekstów przeznaczonych dla specjalistów (którzy i tak, czytając, powinni zachować ostrożność)?

Wiara bez uczynków będzie zawsze martwa. Wiara potrzebuje działania. Inaczej obumrze, a jako

martwa może obrócić się przeciw nam. Jak głosi znana fraza: „Mistyk wystygł. Wynik? Cynik”¹. Zatem dalejże do czynu!

PYTANIA:

1. Co robię, by dbać o swoją wiarę?
2. Które z moich zachowań, reakcji, czynów, postaw są bezpośrednio motywowane nauką Jezusa, mają swoje źródło w Ewangelii? Co zmieniło ich praktykowanie w moim przeżywaniu wiary?

¹ Fraszka Jana Sztudyngera (przyp. red.).



Za czasów Heroda, króla Judei, żył pewien kapłan, imieniem Zachariasz, z oddziału Abiasza. Miał on żonę z rodu Aarona, a na imię było jej Elżbieta. Oboje byli sprawiedliwi wobec Boga i postępowali nienagannie według wszystkich przykazań i przepisów Pańskich. Nie mieli jednak dziecka, ponieważ Elżbieta była niepłodna; oboje zaś już posunęli się w latach.

Kiedy według wyznaczonej dla swego oddziału kolei pełnił służbę kapłańską przed Bogiem, jemu zgodnie ze zwyczajem kapłańskim przypadł w udziale los, żeby wejść do przybytku Pańskiego i złożyć ofiarę kadzenia. A cały lud modlił się na zewnątrz w czasie ofiary kadzenia. Wtedy ukazał mu się anioł Pański, stojący po prawej stronie ołtarza kadzenia. Przeraził się na ten widok Zachariasz i strach padł na

niego. Lecz anioł rzekł do niego: „Nie bój się, Zachariaszu! Twoja prośba została wysłuchana: żona twoja, Elżbieta, urodzi ci syna i nadasz mu imię Jan. Będzie to dla ciebie radość i wesele; i wielu cieszyć się będzie z jego narodzin. Będzie bowiem wielki w oczach Pana; wina i sycery pić nie będzie i już w łonie matki napełniony zostanie Duchem Świętym. Wielu spośród synów Izraela nawróci do Pana, ich Boga; on sam pójdzie przed Nim w duchu i z mocą Eliasza, żeby serca ojców nakłonić ku dzieciom, a nieposłusznych – do rozważi sprawiedliwych, by przygotować Panu lud doskonały”. Na to rzekł Zachariasz do anioła: „Po czym to poznam? Bo sam jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku”. Odpowiedział mu anioł: „Ja jestem Gabriel, stojący przed Bogiem. I zostałem posłany, aby mówić z tobą i oznajmić ci tę radosną nowinę. A oto będziesz niemy i nie będziesz mógł mówić aż do dnia, w którym się to stanie, bo nie uwierzyłeś moim słowom, które się spełnią w swoim czasie”.

Lud tymczasem czekał na Zachariasza i dziwił się, że tak długo zatrzymuje się w przybytku. Kiedy wyszedł, nie mógł do nich mówić, zrozumieli więc, że miał widzenie w przybytku. On zaś dawał im znaki i pozostał niemy. A gdy upłynęły dni jego posługi kapłańskiej, powrócił do swego domu.

Potem żona jego, Elżbieta, poczęła i kryła się [z tym] przez pięć miesięcy, mówiąc: „Tak uczynił

mi Pan wówczas, kiedy wejrzał łaskawie, by zdjąć ze mnie hańbę wśród ludzi”.

To niewiarygodne, z jaką starannością Bóg przygotowuje wydarzenie naszego zbawienia. Wszystko dzieje się pozornie samo, ale wypadki nie tylko łączą się w zgrabną całość, ale wraz z upływem czasu nabierają dla nas coraz większego sensu.

Historia jednej z wielu rodzin zmagających się z problemem bezpłodności, jakich nie brakuje w dziejach świata, zostaje nagle włączona w wielkie ogólnoludzkie wydarzenie, a nawet, jak chcą niektórzy wielcy teologowie, w wydarzenie o znaczeniu wręcz kosmicznym. Bezskuteczne zmagania Zachariasza i Elżbiety obciążone były silnym kontekstem religijnym, który czynił je prawdziwie dramatycznymi. Potomstwo było znakiem Bożego błogosławieństwa, jakie zatem znaczenie miał jego brak dla kapłana, możemy sobie tylko wyobrazić. Jego życie mogło mu się wydawać bezcelowe z biologicznego punktu widzenia, i samo to już mogło prowadzić do depresji. Ta niemoc podważała jednak dodatkowo wartość wykonywanej przez niego pracy – posługi kapłańskiej. To upokorzone nieszczęściem małżeństwo nie mogło mieć najmniejszego pojęcia, że jego smutna historia będzie mieć jakies inne, szersze znaczenie

i oddziaływanie, a w tym kontekście wcale nie jest już tragiczna. Wręcz przeciwnie, wpisana jest w bardzo radosne wydarzenia, najradośniejsze w zasadzie w dziejach całej ludzkości.

Jak to się przekłada na nasze tu i teraz? Gdy przeżywamy swoje frustracje, bezsilność, mniejsze i większe dramaty, często nawet nie przychodzi nam do głowy, by choć spróbować spojrzeć na nie z innej perspektywy; spróbować założyć, że to wszystko może mieć jakiś ukryty sens, który w przyszłości się ujawni, a nawet rozbłyśnie niespodziewanym blaskiem. Dlaczego tego nie robimy? Czy z powodu naszej ludzkiej gnuśności, czy braku wyobraźni, dobrej woli, czy też przeszkodą jest zwykle lenistwo? A być może takie wyjście poza własne ograniczenia jest zwyczajnie niemożliwe? Gdyby jednak, liżąc różne rany naszego życia, choćby przypuścić, że być może w naszych trudnych doświadczeniach tkwi ukryty jakiś sens, którego teraz nie jesteśmy w stanie pojąć, i pozostać z taką milczącą ewentualnością gdzieś w tyle głowy? Tyle tylko że taki zabieg nie może być tanim pocieszeniem, ale przyjęciem realnej możliwości, której chwilowo nie możemy zweryfikować. Zapachniało naszymi babciami i ich tajemniczą filozofią życia, że nie wszystko zawsze wiadomo? Zapachniało? I słusznie, bo w tej zamierzchłej filozofii, gdy nie wszystko było jasne i definitywne, kryła się

mądrość życiowa, której nam w naszych pozornie racjonalnych czasach niezwykle brakuje. Przydałaby nam się odrobina staroświeckości.

PYTANIA:

1. Jakie wydarzenia, które w pierwszej chwili oceniałem jako dramatyczne i złe, okazały się z czasem dobre i przydatne?
2. Co osiągnę, jeśli powstrzymam się od wydawania ocen i osądów? Jakie działania muszę podjąć, by to mi się udało?
3. Co by się stało, gdybym wydarzenia życia przyjmował bez zastrzeżeń, bez ich oceniania? Może warto zrobić taki eksperyment?



W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja.

Wszedłszy do Niej, [anioł] rzekł: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą, <błogosławiona jesteś między niewiastami>”.

Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co by miało znaczyć to pozdrowienie. Lecz anioł rzekł do Niej: „Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i zostanie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca”. Na to Maryja rzekła do anioła: „Jakże się to stanie, skoro nie

znam męża”? Anioł Jej odpowiedział: „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego okryje Cię cieniem. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, którą miano za nieplodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego”. Na to rzekła Maryja: „Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według słowa twego”. Wtedy odszedł od Niej anioł.

Granica jest niezwykle cienka, czasami nawet nie wiadomo, którędy przebiega. By ją wysledzić, potrzebne jest rozwinięte i głębokie życie duchowe. Czyli co? Nic innego jak gotowość do nawiązywania żywej więzi z Bogiem. Żywej, ale też prostej, jakby oczywistej, zwykłej. Tu nie chodzi o finezję; aby nie pomylić zwiastowania z kuszeniem, nie potrzeba wyrafinowania, raczej prostoty i jasnego spojrzenia.

Sam początek tej dziwnej rozmowy jest już zastanawiający: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski...”. Przecież to brzmi jak kuszenie. Ho, ho, ho... jesteś wielka! A dalej jest jeszcze mocniej: poczniesz i porodzisz Tego, Który będzie nazwany Synem Najwyższego... Oj, trudne to.

A Maryja podchodzi do tych rewelacji zupełnie zwyczajnie. Owszem, na początku trochę się zmie-

szala, ale szybko odzyskuje zimną krew i podejmuje sprawę – że tak powiem – techniczne: Chciałabym wiedzieć trochę więcej, jak to będzie przebiegać? Rozmowa staje się bardzo „męska”. Maryja zachowuje się, jakby nie pierwszy raz spotkało ją coś takiego. Przypominam sobie pewnego proboszcza, którego narzeczeni tak zdenerwowali, że rzucił im w twarz: „Zachowujecie się państwo, jakbyście pierwszy raz w życiu ślub brali!”. A Maryja zachowuje się tak, jakby podobne wydarzenia – no, może nie były u niej na porządku dziennym, ale na pewno nie zdarzały się tak rzadko. A kto wie, czy rzeczywiście tak nie było? Być może wchodziła w modlitwie w bardzo bliską zażyłość z Bogiem? Być może Zwiastowanie nie było początkiem jej przygody, ale jakimś kolejnym etapem tej zażyłości albo wręcz jej owocem? My widzimy dziś maleńki fragmencik, jeden kadr z filmu. Jednak jest to kadr tak charakterystyczny, że możemy się domyślać, jaka sekwencja wydarzeń mogła do tej sceny doprowadzić.

Najbardziej imponuje mi w Maryi jej punkt widzenia: tak naprawdę nie jest ona w żadnej mierze skupiona na sobie, na swych doznaniach czy przeżyciach. Może swobodnie rozmawiać, patrzeć przed siebie, a nie na paski u sandałów. Po tak mocnych słowach nie mdleje, nie traci opanowania, ale myśli i działa racjonalnie. Co to za niesamowita konstrukcja człowieka, która umożliwia coś takiego!

Ostatnio jeden z moich znajomych alkoholików zastanawiał się, po co jest nam potrzebny charakter. Dlaczego mamy nad nim pracować? Temat mało modny i raczej zarzucony. I ów znajomy sam sobie odpowiedział: „Przecież to proste: charakter jest mi potrzebny po to, bym mógł odrzucić pokusę”.

Jakiż to charakter wypracowała ta prosta kobieta, co za osobowość wyczarowała, skoro z taką lekkością odróżniła zwiastowanie od kuszenia! A to przecież jeszcze dziewczynka. I co, budzi szacunek?

PYTANIA:

1. Jak radzę sobie na co dzień z odróżnianiem inspiracji Bożych od zwykłego kuszenia?
2. W jaki sposób pracuję nad swoim charakterem? Na ile jest to praca przemyślana i prowadzona konsekwentnie według jakiegoś przyjętego planu?
3. Jaki chcę mieć charakter? Wymień dziesięć najważniejszych cech.



W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w [ziemi] Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty nappełnił Elżbietę. Wydała ona głośny okrzyk i powiedziała: „Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto bowiem, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona [jest], która uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Jej od Pana”.

Wtedy rzekła Maryja: „Wielbi dusza moja Pana, i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy. Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej. Oto bowiem

błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny; a święte jest Jego imię – i miłosierdzie Jego z pokoleń na pokolenia dla tych, co się Go boją. On przejawia moc ramienia swego, rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich. Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych. Głodnych syci dobrami, a bogaczy odprawia z niczym. Ujął się za sługą swoim, Izraelem, pomny na miłosierdzie swoje, jak przyobiecał naszym ojcom – Abrahamowi i jego potomstwu na wieki”.

Maryja pozostała u niej około trzech miesięcy; potem wróciła do domu.

Dla Elżbiety zaś nadszedł czas rozwiązania i urodziła syna. Gdy jej sąsiedzi i krewni usłyszeli, że Pan okazał jej tak wielkie miłosierdzie, cieszyli się z nią razem.

W tamtych czasach standardy podróży dalece odbiegały od naszych. Nie było tanich linii lotniczych ani PKS-u. Podróżowanie było niebezpieczne i niewygodne. Nie ma porównania nawet z PKP! A tu kobieta samotnie wybiera się na wyprawę przez góry. Czy Józef zwany Opiekunem nie mógł się pofatygować i odprowadzić narzeczonej? Czy nie miała żadnych krewnych? A może był jakiś ważny powód tej samotnej wyprawy?

Obserwowałem kiedyś powrót z rekolekcji do domu jednego ze studentów. Rankiem telefon od mamusi:

– Syneczku, spakowałaś się? Zabrałaś kosmetyczkę? Zawsze zapominasz kosmetyczki!

– Tak, mamusiu, mam kosmetyczkę.

Dwie godziny później:

– I co, syneczku, jesteś już na stacji?

– Nie, mamusiu, jesteśmy w drodze na dworzec.

– A bagaże wam zawieźli samochodem?

– Nie. Niesiemy.

– A to niedobrze. Jest ci ciężko?

Po godzinie:

– Syneczku, jak tam, masz miejsce siedzące?

– Tak, mamusiu.

– A przy oknie?

– Nie, od korytarza.

– A to szkoda, przy oknie zawsze ładne widoki... Szkoda.

Półtorej godziny później:

– Syneczku, pamiętaj o przesiadce w Krakowie...

– Przecież wiem...

Po godzinie:

– I co, wszystko dobrze?

– A jak ma być? Siedzę przy oknie.

– A to wspaniale...

Po dwudziestu minutach:

– Syneczku, a masz jakieś kanapki, jabłuszko, coś do picia?

– Mam wodę, jeść mi się nie chce.

– Powinni zrobić wam kanapki. To przecież długa podróż.

– Mamo, nie umrę przecież...

Po godzinie:

– Synku, uważaj, niedługo Wrocław. Żebyś niczego nie zapomniał z przedziału!

– Ogarniam wszystko...

Pół godziny później:

– I jak?

– Jest OK. Jestem już w tramwaju.

Chłopak wszedł do domu, wycalował mamusię i... i koniec. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Nawet nie mogła go zagadnąć: „Jak tam podróż?”. Wszystko zostało już przecież powiedziane. Zamężzone, zagadane.

Ostatnio wielu ludzi zauważa, że nasze spotkania są jakieś mało energetyczne. Czegoś nam brakuje.

Maryja świadomie idzie samotnie w góry. Samotność staje się dla niej drogą do spotkania z krewną. Wiele rzeczy się wydarzyło. Maryja potrzebuje spokoju i samotności, by to przemyśleć. Przygotowuje się na spotkanie z ciotką. I spotkanie to jest niezwykle mocne, energetyczne, aż porusza się płód w brzuchu Elżbiety. Nie wiem, czy nie jest to najdynamiczniejsze spotkanie, jakie opisuje Biblia.

Ogromna, potężna siła niesie te kobiety ku wydarzeniu prawdziwego spotkania. I następuje właśnie ten moment, gdy Maryja śpiewa hymn o swojej wartości: „ (...) błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia (...) wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny”. Nie tylko czuje się wartościowa, ale też potrafi otwarcie o tym mówić. To wielkie spotkanie przygotowała jej samotność.

PYTANIA:

1. Jak dbam o przygotowanie codziennych spotkań z najbliższymi? Jak celebрую te spotkania? Gdzie szukam motywacji do kształtowania stosunków z innymi ludźmi?
2. Jak świadomie przeżywana samotność pomaga mi budować moją rodzinną wspólnotę, stosunki w pracy, z przyjaciółmi?



W owym czasie wyszło rozporządzenie ceszara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Podążali więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Powiła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie.

W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Wtem stanął przy nich anioł Pański i chwala Pańska zewsząd ich

oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. I rzekł do nich anioł: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś bowiem w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”. I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom, w których sobie upodobał”. Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili między sobą: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił”. Udali się też pośpiesznie i znaleźli Maryję, Józefa oraz leżące w żłobie Niemowlę. Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dziecięciu.

Czy aby nie mamy do czynienia z żydowskim hiperbolizmem – skłonnością do przejawiania w celu uzyskania pożądanego wrażenia? Czy ta demonstracja była uzasadniona? Czy nie wystarczył sam fakt, że Stwórca staje się stworzeniem, garncarz staje się garnkiem? Czy wszystko musiało przebiegać aż tak dramatycznie? Stawiam sobie te pytania nie po to, by dokonywać ocen, ale by zrozumieć.

Owszem: siano, wółek, osiołek i romantyczna historyjka już dwa tysiące lat poruszają serca ludzi,

stając się dla każdego pokolenia kanwą ckliwie obchodzonych świąt, pełnych pieśni i zwyczajów regionalnych. Ale czy o to chodziło?

Zapewne po trosze też. No właśnie – po trosze. Bo jednak najistotniejszy jest tu konsekwentnie realizowany plan uniżenia się Boga, zwanego w języku teologii kenozą. Narodziny w czasie podróży. Poród w jakiejś grocie, w towarzystwie zwierząt. I jeszcze to ułożenie niemowlaka w żłobie – nie wiadomo, czy to dobry praktyczny pomysł, czy teatralny gest.

Wizyta pasterzy – ludzi twardych, dzikich, którzy na co dzień obcowali ze zwierzętami i do nich byli przyzwyczajeni. Pasterze w tamtych czasach byli ludźmi jakby z marginesu. Osobników o takim poziomie higieny żadna matka do niemowlaka by nie dopuściła. A Ewangelia opowiada o tym nie tylko bez oburzenia i lamentacji, ale z pewnym zachwytem, niczym o wydarzeniu wnoszącym nową jakość – Dobrą Nowinę. Jak to się dzieje, że tak trudnym wydarzeniom towarzyszy pokój i cisza?

A przecież to dopiero początek. Akcja „poniżenie” nabiera rozpędu. Na scenę wchodzi rozwścieczony tyran i morduje dzieci. Maryja z Józefem i Jezusem uciekają zatem do Egiptu, gdzie będą, o zgrozo, żyli jako uchodźcy. O tak, Święta Rodzina to uchodźcy, którzy, by ratować życie, musieli uciekać na obczyznę. Warto o tym pamiętać. Później dzieciństwo w Nazarecie, choć powszechnie pytano: „Czy może

być coś dobrego z Nazaretu?”. I trzydzieści lat nic. Cisza. A o to, jak te lata znosiła Maryja, której anioł obiecał cudowne dziecko, już nikt nie pyta...

Jakby tego było mało, życie Jezusa pełne jest niezrozumienia – nawet ze strony rodziny i najbliższych. Przez lata przygotowywane wystąpienie uczniowie kwitują słowami: „Twarda jest ta mowa...”. On odpowiada lakonicznym pytaniem: „Czy i wy chcecie odejść?”.

Na koniec czeka Go śmierć przestępcy, pełna pohańbienia.

Czy takie poniżenie było konieczne? Jaki w tym sens?

Można zadać sobie jeszcze inaczej to pytanie: A po co On nas zbawił?

PYTANIA:

1. W jaki sposób cisza i pokój towarzyszące dramatycznym wydarzeniom Bożego Narodzenia pomagają mi zachować pokój i równowagę w chwilach pełnych niepokoju i lęku o los mój i najbliższych?
2. Jaką rolę odgrywa cisza w moim przeżywaniu nocy Bożego Narodzenia?



Gdy nadszedł dzień ósmy i należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię Jezus, którym Je nazwał anioł, zanim się poczęło w łonie [Matki]. Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, przynieśli Je do Jerozolimy, aby przedstawić Panu. Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: Każde pierworodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone Panu. Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego.

A żył w Jeruzalem człowiek imieniem Symeon. Był to człowiek sprawiedliwy i pobożny, wyczekujący pociechy Izraela; a Duch Święty spoczywał na nim. Jemu Duch Święty objawił, że nie ujrzy śmierci, aż zobaczy Mesjasza Pańskiego. Z natchnienia więc Ducha przyszedł do świątyni. A gdy Rodzice wnosili

Dzieciątko Jezus, aby postąpić z Nim według zwyczaju Prawa, on wziął Je w objęcia, błogosławił Boga i mówił: „Teraz, o Władco, pozwalasz odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela”.

A Jego ojciec i Matka dziwili się temu, co o Nim mówiono. Symeon zaś błogosławił ich i rzekł do Maryi, Matki Jego: „Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą – a Twoją duszę miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu”.

Była tam również prorokini Anna, córka Fenuela z pokolenia Asera, bardzo podeszła w latach. Od swego panieństwa siedem lat żyła z mężem i pozostała wdową. Liczyła już sobie osiemdziesiąt cztery lata. Nie rozstawała się ze świątynią, służąc Bogu w postach i modlitwach dniem i nocą. Przyszedszy w tej właśnie chwili, sławiła Boga i mówiła o Nim wszystkim, którzy oczekiwali wyzwolenia Jeruzalem.

Długa starość ma inne oczy, widzi wszystko z innej perspektywy. Do pewnego momentu boi się śmierci. Z początku drży o los tych, którzy zostaną, ale z czasem, pograżając się we własnej niemocy, obawia się już tylko samego umierania i nieznanego dalszego

losu. Aż dochodzi do przełamania. Nie tyle oswojenia się z wizją nieuchronnie nadchodzących zdarzeń, co do zgody na nie, ba, nawet ich afirmacji. W wypadku Symeona, który patrzy na świat z punktu widzenia Starego Testamentu (czy – jak może słusznie chcą niektórzy – Pierwszego Testamentu), momentem przełamania jest spotkanie z Jezusem wnoszonym do świątyni. Jako małe, kwilące dziecko Jezus wchodzi w ogromny, obwarowany prastarą tradycją świat życia religijnego narodu wybranego. I właśnie w tym dziecku upatruje stary Symeon rozwiązania swych osobistych potyczek ze śmiercią, ze swoją własną śmiercią. W jednej chwili staje się na nią gotowy. Wszystkie lęki znikają i pojawia się zgoda, a wraz z nią całkowity pokój.

Powodem naszych rozlicznych lęków jest niezgoda na... oj, często na wszystko. Gdy zostaje ona przełamana, otwiera się przed nami doświadczenie harmonii albo, mówiąc językiem nieco branżowym, komunii, czyli zgody na przynależność do świata i do historii, jakie Bóg tworzy swą obecnością. Takie właśnie widzenie i rozumienie przynosi starość, jeśli sama wyczekuje pociechy i nosi w sobie doświadczenie sprawiedliwości i pobożności. Na nasze starcze odbieranie i pojmowanie świata składa się całe nasze życie. Decyzje, postawy, dotychczasowe przyjaźnie i inne ludzkie więzi uformują nasze starcze okulary, a od nich zależeć będzie, czy dopatrzymy się

obecności Boga w naszym starzejącym się świecie. Jeśli się nam to uda, nie powstrzymamy okrzyków zachwytu, bo odkryjemy, że naprawdę warto przejść na drugą stronę.

I jeszcze jedno. Dziadkowie albo pradziadkowie biorący w objęcia małeńkie wnuczeta i ich przytulające się policzki reprezentują zetknięcie przeszłości z przyszłością, tego, co minęło, z tym, co nadchodzi. Każde nowe pokolenie przynosi rewolucję, a te pieśczoty oznaczają przerzucane mosty, ukojenie i zabliznianie się ran, zanim jeszcze powstały. I nim miecz nadejdzie i przeniknie serce Matki, jak zapowiada Symeon, niech pieśczoty i pocałunki łagodzą to wszystko, co nadejść musi.

PYTANIA:

1. Co towarzyszyło moim narodzinom? Jakie znaki? Jakie proroctwo wypowiedano nade mną?
2. Co mogę zrobić dziś, jakie postawy przyjąć, jakich wyborów dokonać, jakie działania podjąć, a czego zaniechać, by przygotować dobrze swą starość?



A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napędniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim.

Galilea to symbol dzieciństwa Jezusa; symbol codzienności, życia ukrytego, przygotowań do działalności publicznej. By wyjść do świata, Jezus potrzebował spokojnego dzieciństwa, potrzebował zwykłego życia z jego szarym turkotem i powtarzalnością zdarzeń wyznaczanych przez pory posiłków i zwykłych zajęć, świąt i nieświąt. Jak to Jego życie wyglądało, jak układało Mu się z rodzicami, w co się bawił z innymi dziećmi, czy lubił zwierzęta...? Dochodzą do nas tylko strzępy informacji, jakieś pojedyncze sceny, ot, wszystko. Niektórzy nawet mówią, że Jezus prowadził

życie ukryte. Przed czym? Przed naszą ciekawością, szukaniem sensacji, plotkami, a nawet przed nabożną czią. Tak daleko idącej dyskrecji potrzebował Chrystus, by dojrzewać, dorastać, nabierać sił.

Życie każdego z nas wymaga daleko posuniętej dyskrecji. Moja ciotka powtarzała powiedzenie, które wydawało mi się dziwne, a nawet niesłuszne: „O tym, co się dzieje w domu, nie opowiadaj nikomu”. Może jest w tym jednak jakaś mądrość? Może intymność domu rodzinnego powinna podlegać ochronie? Tego właśnie uczy mnie to lakoniczne zdanie o dzieciństwie Jezusa pochodzące z Ewangelii, która i tak najobszerniej informuje nas o latach pacholących naszego Zbawiciela. „Dziecię zaś rośło i nabierało mocy, napęlniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim”. To wszystko na ten temat. Nie ma żadnych historyjek o tym, jak chodził z koszulą wyciągniętą ze spodni i jadł kanapkę, która wpadła Mu wcześniej do koryta, albo jak to bawił się w pogrzeb z dziećmi z podwórka i z kim oraz w jakich krzakach brał ślub, będąc bezzębnym maluchem. No, ma to sens.

PYTANIA:

1. Jak dbam o dyskrecję w swoich sprawach rodzinnych? Jak tworzę klimat intymności w swoim domu – dla swojej rodziny, dla swoich dzieci?
2. Po co dzieciom intymność ich domu i tajemnica ich dzieciństwa?